EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 16 kwietnia 1933 R. | NR. 16 (29)

Czerwone Chiny

Klątwa czy błogosławieństwo?

Dno instynktów

Paljatywy amerykańskie

Spowiedź muzułmanki

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki. Teatr.

AUTORZY: Derenicz. Muszałówna. Wasowski. Rogowicz. Boguszewska. Waśniewski. Baranowska.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

SKROMNE POCZĄTKI

Rok 1925. W miasteczku pruskiem Sprottau, w gminazjum żeńskiem rozgrywa się mała scenka obyczajowa.

Na wieść o śmierci prezydenta Rzeszy zrywa się z ławki czternastoletnia dziewczyna, Waltrauta Boldt, biegnie do tablicy i wypisuje na niej kredą następującą sentencję:

„Majster siodlarski, Fryderyk Ebert, *zdechł* („krepiert") w sobotę. Szczęść Boże! W dobrą godzinę!"

Pannie Boldt, córce majora wojsk pruskich, członka organizacji b. frontowców „Stahlhelm", nie podobała się konstytucja wejmarska, o której słyszała dużo brzydkich rzeczy w domu ojcowskim.

W r. 1933 ówcześni koledzy i koleżanki p. Boldt, wyzwoleni już z pod jarzma konstytucji, tworzą awangardę „obudzonych" Niemiec, demolują niesympatyczne lokale marksistów, pacyfistów, humanitarystów i zwyczajnie Żydów, wybijają kolbami garnitury zębów u podejrzanych obywateli, argumentem kuli i noża zamykają przekorne „nieumyte pyski" (mowa wiceprezydenta Kubego w Sejmie pruskim), likwidują resztki słabowitej demokracji niemieckiej, która jest wymysłem „zgniłej nacji francuskiej, złożonej w połowie z negrów, w połowie z żydów", jak twierdzi Mahomet nowych Niemiec, Adolf Hitler.

W r. 1925 pannę Boldt wykluczono z gimnazjum za jej epitaphium żałobne na cześć prezydenta.

W r. 1933 pospolitych morderców, jak Killingera, Heinesa, mianują komisarzami rządowymi, a zabójców Potempy wyciągają z więzienia i stawiają triumfalnie w szeregu pretorjanów Hitlera.

NA TEJ POCHYŁOŚCI...

W Frankfurcie nad Menem rektor uniwersytetu, prof. Gerloff, został osadzony w areszcie prewencyjnym „w celu ochrony jego osoby przed aktami gwałtu ze strony studentów".

***

W Brunświku aresztowała policja na dworcu kolejowym prof. Gassnera, rektora tutejszej politechniki. Aresztowanego osadzono w więzieniu pod zarzutem utrzymywania stosunków z miejscową organizacją „Stahlhelmu".

***

Organizacja studentów socjalistycznych przy uniwersytecie berlińskim rozwiązała się *sama*, w związku z odnośną uchwałą zarządu.

***

We wszystkich byłych dziennikach liberalnych i niezależnych, z „Frankfurter Zeitung" na czele, osadzono komisarzy „prasowych" z ramienia rządu, bez których zgody nie może się ukazać najdrobniejsza nawet notatka.

***

Jaki rodzaj ordynarnej, tępej agitacji panuje obecnie w Hitlerji, świadczy ukaz premjera w gabinecie Hesji, p. Wernera, w którym p. premjer, zwracając się do prasy, mówi:

„Każdy pisarz i dziennikarz, który nie ma przed sobą na biurku dzieła Hitlera „Mein Kampf" (Moja walka), popełnia grzech wobec swoich obowiązków, wobec narodu i swojego zawodu".

Fryderyk Wielki, którego ciągle mają w gębie hitlerowcy, przyjaciel kultury łacińskiej i Woltera, wyrażał często opinję o swych ministrach w słowach dosadnych — „kochane bydełko", przeganiając poniektórych kijem.

Dopierożby miał koronowany złośliwiec i sceptyk uciechę na widok takiej galerji typów, jakiej widok daje światu Hitler i jego konfratrzy.

BESTJALSKI HUMOR

Gazeta Warszawska (Nr. 102) podała za prasą żargonową wiadomość następującą:

„Na pograniczu polsko-litewsko-niemieckiem znajduje się miasteczko Wiżajny. Jeden z tamtejszych mieszkańców-żydów, handlujących końmi, wyjeżdża często do Niemiec w celach handlowych za t. zw. półpaskiem. W tych dniach, gdy przekroczył granicę i znalazł się na terytorjum niemieckiem, został zatrzymany przez hitlerowców, którzy w bestjalski sposób zrobili mu lewatywę z litra wody zimnej."

Wiadomość tę „*Gazeta Warszawska*" zaopatrzyła taką oto uwagą:

„Prasa żydowska nie wyjaśnia bliżej, jak mianowicie przejawiło się „bestjalstwo" tego popularnego zabiegu leczniczego".

Zaiste — bestjalski humor.

»TAXI-GIRLS«

W większych dancingach paryskich zjawiły się — za przykładem amerykańskim — t. zw. „taxi-girls". Tak nazywają się tancerki, obowiązane do tańczenia w ciągu ustalonej ilości minut z każdym gościem, który wykupił w kasie żeton do tańca. „Taxi-girls" siedzą na estradzie i czekają na wezwanie. Nie mają prawa nikogo do tańca zachęcać, niewolno im z tancerzami rozmawiać, ani też przyjmować zaproszenia do następnego tańca. Są tylko do rozporządzenia gościa, który podchodzi i wręcza żeton. Cena żetona 1 frank 50 cent. „Taxi-girls" otrzymuje z tej sumy 90 centów, nadto 10 franków za wieczór od właścicieli dancingu. Zarobek tych żywych „automatów do tańca" wynosi przeciętnie do 1.000 franków miesięcznie.

Paryski tygodnik *Marianne* przeprowadził ankietę wśród „taxi-girls". Większość tych tancerek rekrutuje się zpośród byłych „manekinów" i pracownic z wielkich magazynów mód, ale są wśród nich również aktorki, literatki, dziennikarki.

Przygnębiające pomysły XX stulecia...

MOSTY NA DUNAJU

Każda rzeka dzieli ludzi, a każdy most łączy. W czasach Trajana, na dzisiejszym rumuńsko-bułgarskim odcinku Dunaju istniał most, zbudowany przez słynnego architekta Apollodora, — most ten został zburzony w epoce najścia barbarzyńców na półwysep Bałkański, i od tej pory aż do naszych dni Dunaj tylko oddziela narody, które dokoła niego skupiły się, ilekroć zaś aktualizowała się możliwość budowy „mostów międzynarodowych" na tej rzece, zawsze różnego rodzaju nieprzewidziane trudności spychały tę sprawę na barki przyszłych pokoleń.

Jesteśmy obecnie świadkami nowego przypływu zainteresowania się sprawą nieistniejących mostów

na Dunaju. Niedawno p. Stoica, przedstawiciel Rumunji w Sofji konferował w tej kwestji z rządem bułgarskim, a w czasie ostatniego spotkania królów Jugosławji i Rumunji w Sinaja, również zastanawiano się nad koniecznością budowy mostów-łączników gospodarczo-kulturalnych między Rumunją i Jugosławją z jednej strony, a Rumunją i Bułgarją z drugiej.

Blisko już od pół wieku spoczywają w lamusie „międzynarodowych niemożliwości" plany budowy takich mostów, z których pierwszy (Turnu-Severin-Kladowa) łączący Jugosławję z Rumunją, stanowiłby nader ważny węzeł komunikacyjny na drodze łączącej morze Egejskie z Adrjatykiem. Jeszcze donioślej przedstawia się sprawa budowy dwóch następnych mostów na Dunaju (Korabia-Swisztow i Dżurdżewo-Rusztszuk), łączących bezpośrednio Rumunję z Bułgarją, a pośrednio morze Bałtyckie z Egejskiem, a zatem interesujących również Polskę i kraje nadbałtyckie z jednej strony, a Grecję z drugiej.

Na wieść o toczących się naradach zainteresowanych rządów w sprawie budowy mostów na Dunaju, prasa włoska uderzyła na alarm i nie przestaje atakować „imperjalistycznych zakusów Jugosławji". Z drugiej strony prasa bolszewicka również traktuje nieistniejące jeszcze mosty, jako „jeden z przejawów militarnego zbrojenia się Zachodu do przyszłej wojny z Rosją Sowiecką".

Obecna polityczno-gospodarcza sytuacja na Bałkanach stanowi nader korzystną konjunkturę dla podjęcia tego rodzaju budowy ekonomiczno-kulturalnych łączników życia międzynarodowego. Prasa angielska stwierdza poprostu, iż od wieków nie było na Bałkanach tak korzystnego momentu dla realizacji wielkiej idei mostów. Jeśli realizacja nie dojdzie jednak i teraz do skutku, będzie to jeszcze jeden skutek obecnej gorączki zbrojeń, która każe narodom i państwom każdy wielki plan rozważać z militarnego punktu widzenia i udaremnia wskutek tego wiele pięknych i doniosłych zamierzeń.

„DZIEWCZYNKA W MUNDURKU"

W wiedeńskim sądzie dla nieletnich toczyła się sprawa 14-letniej tancerki imieniem Mizzi, córki nieznanych rodziców, zaadoptowanej przez pewną zamożną rodzinę wiedeńską. Mizzi jest piękna, ma niezwykły talent taneczny. Ale jest niegrzeczna, krnąbrna, nieopanowana. Przybrani rodzice żądali od sądu zgody na oddanie Mizzi do klasztoru żeńskiego w Salzburgu, aż do pełnoletności. Sąd przychylił się do tego żądania. Po usłyszeniu wyroku, Mizzi popadła w rozpacz i krzyczyła: „Nie chcę do klasztoru! Nienawidzę klasztoru! Ucieknę!"

Wezwany w charakterze świadka, profesor szkoły baletowej, oświadczył na sprawie, że Mizzi, jako tancerkę, czekałaby wspaniała przyszłość.

Jakże to przypomina sztukę „Dziewczynki w mundurkach", graną niedawno w Teatrze Kameralnym!

„Epoka" jest pismem niezależnem od żadnej partji czy grupy politycznej.

CZERWONE CHINY

Każdej wiosny, kiedy kanały i rzeki opadają, a drogi wysychają pod ciepłemi promieniami wiosennego słońca i z pól unoszą się zapachy zaoranej ziemi, na wielkich szlakach, idących od południa Chin ku dolinie rzeki Jangtse, zaczynają wyrastać, niby z pod ziemi, uzbrojone oddziały Chińczyków. Są to komunistyczne wojska chińskie. Przeciwko nim z różnych stron Chin wyruszają oddziały, wierne temu lub innemu rządowi.

Tysiące istnień pada co lata, a kiedy wracają deszcze jesienne i kiedy rzeki i kanały znów wzbierają, a drogi toną w nieprzebytem błocie, kampanja wojenna ulega przerwie.

Chiny są krajem wielowiekowych i różnych tradycyj. Z tradycji też południe Chin jest ogniskiem wszelkich buntów, niezadowoleń i ruchów rewolucyjnych. Od szeregu zresztą lat radykalizacji mas na południu Chin sprzyja cały kompleks okoliczności. Tu, w latach 1850 — 1864 szerzył się krwawy bunt Thaipingów, którego ofiarą padło parę miljonów istnień ludzkich. Tu powstały obce enklawy, jak Hongkong, Kanton, Szanghai, Hankou, i inne ważne porty traktatowe. Tu, na rzekach południowych i u ich ujść, pełnią straż łodzie i torpedowce zachodnich mocarstw w obronie majątków cudzoziemskich obywateli przed napadami piratów i bandytów chińskich. Tu uprawiany jest na wielką skalę handel z cudzoziemcami, i obok zbogaconych wielkich kupców chińskich uwijają się nędzni kulisi i riksze, zastępujący konie i muły; tu wyrastają nowe fabryki, w których pracują bez żadnej ochrony mężczyźni, kobiety i dzieci, a obok powstają nowe osady robotnicze, w których masy ludzkie żyją stłoczone, jak śledzie

Miary zrewolucjonizowania południa Chin dopełniły zwycięskie mocarstwa, które zasiadły na Konferencji Pokojowej w Wersalu. Chiny, jako biorące udział w wojnie światowej po stronie mocarstw koalicyjnych, również brały udział w tej konferencji. Opowiadając się przeciwko Niemcom, Chiny miały na celu zdobycie miejsca i głosu w konferencji powojennej, by móc domagać się zwrotu tych terenów chińskich (Szantung, Kiaoczao), które Japonja w pierwszych dniach wojny światowej odebrała Niemcom. Gdy Konferencja Pokojowa przyznała Japonji, wbrew protestom Chin, dalsze prawa do tych terenów, w Szanghaiu, Kantonie i Hankou powstał pod wodzą studentów chińskich bunt, który pociągnął za sobą strejk całego kraju, jako protest przeciwko podpisaniu Traktatu Wersalskiego.

W rozgoryczeniu i rozczarowaniu do Konferencji Wersalskiej, studenci chińscy zwrócili się o przewodnictwo do swego zachodniego sąsiada, do Rosji Sowieckiej.

Oto zaczątek stosunków ideowych z Sowietami i wpływów Sowietów i komunizmu w Chinach.

Tysiące młodych studentów chińskich udaje się do Syberji i Rosji, do szkół i uniwersytetów w Irkucku, Moskwie i Leningradzie. Inni udają się do Francji (głównie do Ljonu) i do Japonji.

Jednocześnie „ojciec rewolucji chińskiej", Sun Jatsen, szukał w Sowietach pomocy materjalnej, której nie mógł uzyskać od innych państw. W ten sposób została stworzona podstawa do współpracy pomiędzy Kuomintangiem, narodową partją chińską

i komunistyczną partją chińską, która wtedy była w stadjum organizacyjnem. Sun Jatsen uzyskał od Sowietów poparcie w postaci pieniędzy i materjałów wojskowych, a komunistyczna partja chińska prawo legalnego działania.

Oficjalnie aljans pomiędzy Sowietami i Sun Jutsenem został zawarty 26 lipca 1923 roku na podstawie protokułu o współdziałaniu Kuomintangu, Sowietów i komunistycznej partji chińskiej. Aljansu tego nie należy w żadnym wypadku rozumieć jako dążenia Sun Jatsena do skomunizowania Chin. Przeciwnie, dr. Sun, podpisując ten protokół, wyraźnie zastrzegł się, że idee bolszewicko - rosyjskie nie mogą znaleźć absolutnie zastosowania w Chinach. Zresztą, dr. Sun potrzebował pieniędzy, karabinów, amunicji i wojskowych instruktorów, a nie idei i zasad, których on i Chiny miały aż nadto.

Komuniści, dopuszczeni przez Sun Jatsena do Kuomintangu, zaczęli działać w jego łonie nie jako partja, lecz jako dyscyplinowane jednostki z rozkazami Międzynarodówki. Komuniści opanowali Kuomintang, przejmując pod swój zarząd i kontrolę cały aparat propagandowy, partyjny, organizacyjny i wychowawczy wśród wojska i chłopów, a zostawiając dla dawnych członków Kuomintangu jedynie urzędy administracyjne.

Jednocześnie, na mocy aljansu z Sowietami, przybył do Chin delegat rządu Sowieckiego, jako „wysoki doradca" przy Kuomintangu. Pierwszym tym i ostatnim zresztą, delegatem był Michał Borodin, który, wraz z wojskowymi instruktorami sowieckimi, szerzył wśród młodych kadetów i ludności metody rewolucji sowieckiej.

Sympatje Chin dla Sowietów powiększyła w dużym stopniu umowa chińsko - sowiecka, podpisana 31 maja 1924, w której rząd sowiecki zrzekł się wszelkich odszkodowań, praw i przywilejów, uzyskanych przez rząd cesarski w Chinach. Między innemi, Sowiety zrzekły się praw eksterytorjalności i konsularnej jurysdykcji.

Czerwone oddziały chińskie, pod kierunkiem Borodina i Czang Kaiszeka, przyszłego generalissimusa i wodza narodowej armji chińskiej, odniosły w r. 1926 pierwsze zwycięstwo nad generałami północnymi. Nie były to jednak zwycięstwa militarne, było to raczej dzieło metod bolszewicko - chińskich: był to rezultat przekupywania oficerów i wywoływania buntów ludności na tyłach.

Aljans Czeng Kaiszeka z bolszewikami rosyjskimi i komunistami chińskimi nie trwał jednak długo. Pieniądz, odgrywający zawsze w Chinach potężną rolę, rozbił to przymierze. Czeng Kaiszek, przekupiony przez finansjerę chińską, wystąpił przeciwko komunistycznym oddziałom, a rząd Nankiński potępił oficjalnie komunizm, ogłaszając go za zdradę państwa (1927 rok). Borodin, straciwszy oparcie w Chinach i poparcie od rządu sowieckigo, pogrążonego wówczas w wewnętrznym konflikcie — Stalin - Trocki — uciekł z Chin.

Tak zakończyła się bezpośrednia współpraca komunistów chińskich z bolszewikami, walka jednak pomiędzy czerwonemi armjami chińskiemi i wojskami narodowemi trwa nadal, aczkolwiek z przerwami (latem ubiegłego roku przeszło pół miljona ludzi zginęło w tej walce).

Czerwona armja Chin liczy około 90.000 ludzi. Liczba ta, jak liczba każdej armji chińskiej, jest bardzo ruchoma, ze względu na ciągłe zdrady i przechodzenie na stronę przeciwników.

Żołnierze czerwonej armji rekrutują się przeważnie z chłopów z okupowanych przez nią terytorjów. Resztę stanowią robotnicy, dezerterzy i zbankrutowane oddziały, oraz bandyci i włóczędzy.

Czerwona armja posiada swoje własne arsenały, które wyrabiają karabiny i naboje, pozatem zdobywa broń drogą szmuglu i przekupywania wrogich oddziałów chińskich, które bądź sprzedają swoją broń, bądź poprostu poddają się. Kilka większych klęsk armji narodowej wywołano właśnie w ten sposób. Zdobycie południowych portów ułatwiłoby znakomicie zaopatrywanie czerwonej armji w broń drogą zakupywania jej zagranicą, narazie jednak dostęp do morza jest zatarasowany przez obecność na niem bojowych jednostek państw obcych.

Czerwona armja chińska, poza zadaniem militarnem, spełnia misję społeczną. Skoro tylko czerwone wojska okupują jakiś teren, wydział polityczny armji zwołuje robotników i chłopów, polecając im wybór rady dla przejęcia władzy nad okręgiem od politycznego szefa armji. Ponieważ większość chłopów nie zdaje sobie sprawy z tego wszystkiego, władzę przejmują poprostu członkowie partji komunistycznej. Pierwszy taki okrąg radziecki zorganizowano w roku 1927. Od tego czasu powstało w południowych i środkowych Chinach (w okręgach, okupowanych przez czerwoną armję) ok. 500 rad.

Miejscowa rada chłopów i robotników przeprowadza w pierwszym rzędzie rewolucję agrarną*), polegającą na konfiskacie całej ziemi i nieruchomości, będących w posiadaniu klasy średniej, właścicieli ziemskich i instytucyj religijnych, jednocześnie cała władza polityczna i administracyjna przechodzi do rąk rady.

Ziemia ulega podziałowi pomiędzy bezrolnych i małorolnych chłopów, czyli rada przeprowadza tu podział ziemi, a nie nacjonalizację. W ten sposób powstaje nowa klasa małorolnych, niezależnych chłopów, którzy poprawiają swój los kosztem średniej klasy i właścicieli ziemskich.

Na terytorjach, opanowanych przez czerwoną armję, chłop płaci nadal podatki, są one jednak bardzo niskie, przyczem zarówno armja, jak i miejscowe rady stosują względem najuboższych jak najdalej idące ulgi i zwłoki. Podatki idą na finansowanie rad miejscowych, okręgowych i centralnych.

Rady chińskie, wzorując się na Sowietach rosyjskich, prowadzą walkę z religją i tradycją. Największego wyłomu dokonano w tradycji zawierania małżeństw, które odtąd odbywają się bez pośrednictwa rodziny i swatów.

Praca społeczna i wychowawcza czerwonej armji, ich życzliwy stosunek do ludności bardziej sprzyjają popularyzacji komunizmu w południowych Chinach, niż program bolszewicko - marksowski. Chłopi chińscy pragną pokoju, uczciwej administracji podatko-

*) Projekt reform o charakterze „socjalistycznym" istniał w Chinach już pod koniec XI stulecia. Projektodawca, Uang Anszi, projektował następujące, między innemi, reformy: nacjonalizacja handu i ściąganie podatków w naturze, popieranie rolnictwa drogą finansowania ubogich rolników, ponadto taka, m. in., zasada: rodzina ma prawo tylko do jednego syna, każdy następny należy do państwa.

wej, któraby nie była narzędziem ciemiężenia w ręku urzędników i właścicieli ziemskich.

Każde wojsko, każdy rząd, który umie to przeprowadzić, zyskuje wśród biednej ludności popularność i sympatje, bez względu na nazwę.

Czy komunizm ma szanse powodzenia w Chinach, czy wogóle można mówić o komunizmie w Chinach? Komunizm chiński — to nie są teorje komunistyczno-bolszewickie, lecz dążenie do przebudowy Chin, do takich Chin, w których przestaną panować generałowie i urzędnicy, wyzyskujący miljony głodujących kulisów, żyjący kosztem miljonów istnień robotników i chłopów. Czerwone Chiny — o ile takie powstają — nie będą imitacją Rosji. Chińczycy przetworzą na swoją modłę komunizm tak, jak to uczynili z chrześcijaństwem i buddyzmem. Komunizm w Chinach będzie chiński.

Michał Derenicz

KLĄTWA CZY BŁOGOSŁAWIEŃSTWO?

Wśród dyskusji, toczącej się na łamach prasy całego świata, wśród cytowanych przyczyn kryzysu — znajdujemy nierzadko opinje, przypisujące winę kryzysu nazbyt szybko wzrastającemu postępowi technicznemu w przemyśle. Maszyna wyparła z fabryk żywe ręce robocze. Maszyna redukuje wciąż rzesze konsumentów. Maszyna czyni coraz bardziej zbytecznym udział żywego człowieka w procesie produkcji, a przeto ci, którzy mogą żyć tylko za cenę uczestnictwa w produkowaniu dóbr, dając wzamian pracę — jedyne prawo do życia, ci skazani zostają na żywot z łaski, na dolę bezrobotnego, który jest swoistym „liszeńcem" współczesnych państw kapitalistycznych.

W wyniku tego stanowiska nie brak w wielkich dziennikach świata artykułów na temat: czy przypadkiem powrót do prymitywnych form produkcji, czy przypadkiem rezygnacja ze zbyt już (ich zdaniem) wybujałej roli maszyny, nie będzie dobrą kuracją kryzysu? Innemi słowy: nietylko wstrzymać dalszy postęp techniczny, ale jeszcze osiągnięty już stopień postępu cofnąć o parę, może kilka, poziomów, aby w ten sposób rozszerzyć rynek pracy, rozpocząć odwrotny proces zastępowania maszyn siłami ludzkich rąk.

Czy tak przemawiający autorzy biorą samych siebie na serjo? Oto jeszcze jeden nonsens obok wielu innych, oglądanych w rzeczywistości lub — w projektach.

Zwolennicy obecnego systemu gospodarczego, mocno przyciśnięci do muru, kiedy już nie znajdują więcej argumentów rzeczywistych dla obrony nonsensów nadmiaru, kartelowego liberalizmu, samobójczej nędzy obok magazynów pękających pod ciężarem nagromadzonych zapasów, wtedy — z całą powagą powołują się na tajemnicze siły wyższe, działające jakoby w ekonomji świata. Istnieje jedna niezaprzeczona siła wyższa: jest nią pragnienie postępu, ulepszeń, doskonalenia, niezwalczone ani w człowieku, ani w społeczeństwach. I tej to siły wyższej, najbardziej twórczej siły ludzkości, mielibyśmy się wyrzekać dlatego, że system obecny nie potrafi sobie poradzić w zaprowadzeniu równowagi między produkcją, a konsumcją? Kto zdoła tej niezwalczonej sile postępu położyć tamę? Można, zapewne, trzymać w kieszeni wielkie wynalazki, w ten sposób opóźniając postęp dla celów egoistycznych gospodarki kapitalistycznej. Ale nie można, niema sposobu na założenie hamulców przeciwko ambitnej myśli wynalazczej.

Już pierwszy okres sukcesów człowieka na polu mechanizacji sił wytwórczych posiadał ideologję, której dziś nie zdołają wypaczyć wrogowie maszyny. Maszyna miała nietylko ulżyć przeklętej doli pracownika najemnego, ale ponadto — miała mu dostarczyć w większym stopniu dóbr materjalnych i kulturalnych. Dzięki maszynie miała wzrosnąć po tysiąckroć nietylko produkcja, ale i konsumcja. Któż śmiał przypuścić w najzłośliwszej fantazji, że przyjdzie taki czas, w którym ludzkość, przez tyle wieków nękana latami nieurodzajów, latami niedostatków, zdana na łaskę sił natury, naraz — cierpieć będzie nędzę z powodu „nadmiarów" produkcji.

Patrząc na dorobek ludzkiego umysłu w przyśpieszeniu procesu wytwórczości i zwiększeniu wydajności pracy, patrząc na cudowną sprawność maszyny, na nieograniczone niemal możliwości wytwarzania wszelkich artykułów dla człowieka niezbędnych — odczuwaliśmy szczególny rodzaj dumy. Wielkiej dumy z potęgi Człowieka. Jeżeli teraz z tej samej racji odczuwamy szczególny rodzaj wstydu, dzieje się to nie dlatego, aby zachwiała się w nas wiara i ocena wartości postępu technicznego. Wstydzimy się tych nonsensów, które narosły na wielkim dorobku, wstydzimy się tej bezradności, tego niedołęstwa współczesnej cywilizacji, tej potwornej rzeczy, którą jest — wrzucanie w przepaść nędzy miljonów ludzi po to, aby zadośćuczynić problematycznym interesom niewielu tysięcy jednostek, posiadających miljony w złocie.

Czyż dlatego maszyna ma się stać przekleństwem ludzkości? Więc mamy przyznać rację pierwszym ofiarom, pierwszym robotnikom wyrzucanym na bruk z racji instalacji maszyn?

Współczesny uświadomiony robotnik, usuwany dziś z nowoczesnych warsztatów pracy naskutek technicznego postępu i racjonalizacji, nie odczuwa nienawiści do maszyny. Współczesny człowiek pracy — fizycznej i umysłowej — zda sobie sprawę, że maszyna jest jego sprzymierzeńcem. Nie da sobie wmówić wrogości do maszyny. Sprawcą nieszczęścia kryzysu, winą bezrobocia — nie jest maszyna. Jest nią — niedobry ustrój ekonomiczny świata, niszczący życie nędzarzy, produkujący bezrobotnych i prowadzący do zguby swoich własnych władców.

W ostatnim pięcioleciu w poszczególnych krajach, reprezentujących 77% produkcji świata (Stany Zjednoczone, Rosja, Niemcy, Wielka Brytanja, Francja, Japonja, Kanada, Szwecja, Austrja i Polska) zanotowano średni wzrost produkcji o 46%. W poszczególnych przemysłach dokonano ciekawych rekordów wydajności pracy. Ręce jednego człowieka wyrabiają w ciągu dnia 450 cegieł, ale maszyna przy pomocy tego samego człowieka wytwarza sztuk czterdzieści tysięcy dziennie. W hutnictwie szklanem

jedna maszyna zastępuje pracę sześciuset rzemieślników, w wyrabianiu ostrzy do golenia — pięciuset robotników, w produkowaniu obuwia — dwustu pięćdziesięciu. Niemniej fantastyczne obrazy wyświetla nam nowoczesny film rolniczy: w zbiórce zbóż czterech robotników wykonywuje obecnie przy pomocy maszyn pracę tysiąca robotników...

Stany Zjednoczone prezentują nam cyfry szczególniej uderzające. W ubiegłem stuleciu jeden robotnik mógł wyprodukować rocznie 25 tonn żelaza. W roku 1929 cyfra urasta do 4000 tonn. W rolnictwie — praca na fermie wykonywana przed stu laty w ciągu 300.000 godzin, obecnie załatwiana jest w ciągu jednej godziny.

Jedna para rąk roboczych jest w stanie zrobić w ciągu godziny maksymalnie 600 papierosów, ale jedna maszyna wyrzuca w ciągu minuty — dwa i pół tysiąca. W automobilowych fabrykach amerykańskich 200 ludzi wykonywuje w ciągu jednego dnia 10.000 karoserji...

Niemniej ciekawe dane prezentuje przemysł francuski. W roku 1920 przy pomocy 50 instalacji aparatowych wyprodukowano 1.821.000 tonn stali, a więc na każdą instalację przypadało średnio 36.426 tonn. W roku 1925 na 84 instalacje dwa razy więcej. W roku 1928 produkcja wzrasta do 6.624.000 tonn na 85 instalacjach, średnia podnosi się do 77.989 tonn.

Przemysł francuski notuje wzrost produkcji przy jednoczesnym spadku stanu zatrudnienia. Weźmy hutnictwo miedzi. W roku 1920-tym: produkcja 3.340.000 tonn, robotników 20.755, średnia na jednego robotnika — 161 tonn. Rok 1925, produkcja 8.505.000 tonn, robotników — 17.942, średnia produkcji na robotnika 474 tonny. W roku 1928: produkcja 10.072.000 tonn, robotników 17.882, średnia produkcji na robotnika 563 tonny.

Możnaby tego rodzaju dane statystyczne mnożyć w nieskończoność. Możnaby na ich podstawie skonstruować najwspanialszą epopeę ludzkości, postępu zwycięskiego tak dalece, że prawie niewiarygodnego, budzącego zdumienie i podziw. Gdyby do tego postępu zastosowano racjonalizację istotną, skierowaną ku dobru społeczeństwa, a nie ku interesowi jednostek, cóż za wspaniały nowy świat możnaby urządzić na ziemi.

Przed paroma miesiącami premjer gabinetu angielskiego wypowiedział w parlamencie następujące słowa:

„W przyszłości będziemy obserwować produkcję stale wzrastającą, dzięki stosowaniu dalszych metod naukowych. Liczba robotników, biorących udział w procesach produkcji, w dalszym ciągu musi maleć. Jeśli nawet przemysł i handel wrócą do normy, to i wówczas jeszcze będziemy mieć liczne rzesze ludzkie, dla których zabraknie pracy. Czy możemy pozwolić na to, aby wielkie masy mężczyzn i kobiet stały się odpadkami społeczeństwa tylko dlatego, że nasza współczesna organizacja społeczna nie potrzebuje od nich pracy, nie może znaleźć dla nich miejsca w procesach produkcji?"

W dzisiejszym układzie stosunków społeczno-ekonomicznych maszyna jest przekleństwem ludzkości. Wiemy, że powinna i może się stać dobrodziejstwem. Na czasach naszych ciąży wielka praca przeistoczenia roli maszyny drogą innej organizacji świata.

K. Muszałówna

ODGŁOSY

POCHWAŁA DNA INSTYNKTÓW

Prasa Narodowej Demokracji, zachwycona gwałtami i zbrodniami hitlerowskich hord, poucza swoich czytelników, jakie to piękne i godne naśladowania widowisko gra się obecnie w Niemczech.

Myśl Narodowa (nr. 16) pisze:

„W stosunku do tych Niemiec posiadamy jedyny sekret zwycięstwa, przekazany nam przez genjusz Mieczysława I i Chrobrego: patrzeć krytycznie na sąsiadów, ufając w swoją przewagę, lecz poznać to, co u Niemców jest istotnem źródłem ich siły i śmiało przystosować do naszych potrzeb, dla wzmocnienia własnej potęgi, dla najskuteczniejszego zabezpieczenia naszej własnej, narodowej cywilizacji."

Wiemy dobrze, jakby się Narodowej Demokracji uśmiechało owo „przystosowanie" do jej potrzeb. Nie wątpimy, że gdyby mogła, dałaby upust instynktom barbarzyńskim. Instynkty te znajdują na łamach *Gazety Warszawskiej* (z dn. 1 b. m.) entuzjastyczną interpretację:

„Wstrząśnienia wojny i rewolucji zdarły z pnia niemieckiego stare warstwy i odsłoniły za jednym zamachem korę, z której rodzą się nowe słoje. Wywodzi się z niej sam Hitler i większość jego paladynów. Kształcąc się w walce życiowej własną metodą, a nie sposobem przepisanym, który daje już gotowe formy umysłowe dla ujmowania zjawisk, zachowali ludzie ci bezpośredniość i prostotę odnoszenia się do życia, co właśnie u osób nieraz wysoko wykształconych w tradycyjnych formach kultury 19-stego wieku wywoływało mylne wrażenie, że są to ludzie surowi, głupi, niewiele rozumiejący. Tymczasem właśnie ta prawie, że prymitywna bezpośredniość i prostota stanowi tajemnicę ich powodzenia w epoce obecnej, a brak przerafinowanej i gubiącej się prędko w szczegółach metody tradycyjnej w ujmowaniu zjawisk stanowi o ich współczesności i łączności z masami, dając im pozatem dużą żywotność i zdolność widzenia rzeczy istotnych, oraz odwagę wyrażenia tego, co spoczywa na dnie instynktów i dążeń narodu, a co przykryte było dotychczas warstwą pojęć w wielkiej części skostniałą, albo nawet narzuconą".

Oto nowe kryterja. Teror, krwawe gwałty, przemoc, i grabież — to tylko... „bezpośredniość i prostota". A walka o elementarne prawa ludzkie i obywatelskie — to „przerafinowana i gubiąca się w szczegółach metoda tradycyjna w ujmowaniu zjawisk"...

Zapewne, hitlerowcy, zrozumieli „co spoczywa na dnie instynktów". Również Narodowa Demokracja widzi w tem dnie swój kapitał i swoje nadzieje.

Przynajmniej — jasno i wyraźnie...

W wybuchu „dna instynktów" widzi *Myśl Narodowa*... „pobudliwość estetyczną" Hitlera i jego band. Bo Hitler, zachwyca się w swych „Pamiętnikach" sztuką średniowieczną, katedrami gotyckiemi, staremi basztami i t. d. Stąd zamiłowanie do „stylu średniowiecza" wogóle:

„... Pobudliwość estetyczna jest nadzwyczaj ważnym składnikiem psychologji dzisiejszego kanclerza Niemiec i postawy duchowej tych rzeszy miljonowych, których stał się wyrazicielem i przywódcą".

„Cała „rasowa" ideologja Hitlera ma u swych podstaw więcej chyba estetyki, niż antropologji, upodo-

banie w krzepkości i urodzie germańskiego typu: Brunhildy błękitnookiej, czy jasnowłosego Zygfryda".

„Wydaje się, iż w wyniku przeobrażeń, jakie dokonywują się dziś za naszą zachodnią granicą, ujrzymy Niemcy nietyle nawet Fryderyka Wielkiego, czy Bismarcka, ile raczej dawniejsze Niemcy Ottonów i Henryków, Ulricha von Jungina i Hermana von Salza".

Tak więc ruch hitlerowski to — miły, sympatyczny „nawrót do średniowiecznego stylu życia i tworzenia"....

Prostota, bezpośredniość, krzepkość i... pobudliwość estetyczna — oto mają być skuteczne warunki politycznego bandytyzmu, który na łamach prasy narodowo - demokratycznej znalazł tak gorącą pochwałę.

Hitlerowiec, znęcający się nad Żydem, robi to pod znakiem „błękitnookiej Brunhildy", a krwawym prześladowaniom patronuje „jasnowłosy Zygfryd"...

PALJATYWY AMERYKAŃSKIE

Prasa amerykańska raz po raz zaznacza, iż z pośród 14 miljonów bezrobotnych w Stanach Zjednoczonych nie umarł z głodu jeszcze ani jeden człowiek. Podobno nie stwierdzono urzędowo takiego wypadku, chociaż egzystencja bezrobotnych przedstawia się okropnie.

W przeciwieństwie do państw europejskich, władze rządowe w Ameryce nie robią dosłownie nic w dziedzinie pomocy bezrobotnym. Cały ciężar tej pomocy spada na zarówno świeckie, jak i wyznaniowe instytucje dobroczynności, które w ciągu 1931 roku wydały ogółem 54 miljony dolarów na ten cel. Zaznaczyć należy, iż ostatnio cieszy się ogromnem powodzeniem nowy rodzaj reklamy: wielkie firmy handlowo - przemysłowe prześcigają się wzajem w subsydjowaniu akcji społeczno - charytatywnej i coraz częściej widzi się na szpaltach prasy amerykańskiej tego rodzaju ogłoszenia: „kupuj maszyny do pisania marki X. X., albowiem zakłady X. X. przeznaczyły w ciągu ubiegłego roku 100.000 dolarów na rzecz pomocy bezrobotnych. Pięć procent ceny kupna każdej maszyny do pisania marki X. X. — to obiad, odzienie i nocleg bezrobotnego".

Obok wszelkiego rodzaju instytucyj dobroczynności, pomoc dla bezrobotnych niosą również lokalne władze miejskie. W ostatnich czasach coraz większa liczba urzędów miejskich rezygnuje, z powodu braku funduszów, z wypłacania pieniężnych zapomóg bezrobotnym i zastępuje je ofiarami w naturze, a więc odzieżą maszynową i pożywieniem bezpłatnem. Biedne miasto Tulsa, w stanie Oklahoma zmuszone zostało ostatnio do „naukowego" preparowania obiadów dla bezrobotnych, — racje dzienne zawierają każda po 120 kalorji, a składają się z jakowejś chemicznej mieszaniny tłuszczu, cukru i witamin.

Jeśli chodzi o akcję społeczno - charytatywną, to stwierdzić należy, iż jest ona prowadzona na szeroką skalę, a zarazem nader ostrożnie. Bezrobotny musi się zgłosić do Centrali Stowarzyszeń Dobroczynnych, która stosownie do jego wyznania religijnego i stanowiska społecznego przydziela go do najodpowiedniejszej instytucji. Centrala sprawdza pozatem, czy zgłaszający istotnie potrzebuje zapomogi i czy już nie korzysta z niej w jednej ze 102 wielkich instytucyj. Jeśli zważymy, że instytucje te dzielą się na cały szereg „specjalności" (nprz. opieka nad sierotami, kobietami brzemiennemi, inwalidami wojennymi, katolikami, żydami, protestantami różnych wyznań i t. p.) to ostrożność Centrali wyda się rzeczą zrozumiałą. Zdarza się, iż zgłaszający się bezrobotny zostaje przydzielony do kilku Ognisk Pomocy, — tu obiady, tam mleko dla dziecka, ówdzie apteka, opał, nocleg i t. p.

Nie ulega wątpliwości, iż społeczeństwo amerykańskie robi co może w dziedzinie niesienia pomocy bezrobotnym. Inna rzecz, iż trudniej niż w innych krajach przyszło społeczeństwu Stanów Zjednoczonych zrozumienie powagi i „bezwiny" bezrobocia. Nie tak jeszcze dawno szeryf miasta Miami stosował do bezrobotnych znamienną metodę, — oto jeździł po ulicach miasta i po wioskach wozem ciężarowym, pakował bezrobotnych na wóz i wywoził „zagranicę" swego okręgu. Szeryfowie okolicznych miejscowości nie wiedzieli z początku, co mają czynić z „napływowym" elementem, kierując się jednak koleżeńską solidarnością nie odsyłali zpowrotem bezrobotnych do miejsca stałego zamieszkania, lecz przesiedlali coraz to dalej i dalej od Miami. Ostatecznie wydała się cała afera i szeryf pociągnięty został do odpowiedzialności. Tłomaczył się on, że nie mógł inaczej postąpić i że tego rodzaju metody stosował z powodzeniem w okresie Prosperity. Gdy okazało się, że nprz. jest w Miami zadużo piekarzy, szeryf pakował zbytecznych na wóz, odsyłał do innych okolic, gdzie wysiedleńcy dorabiali się niekiedy poważnych fortun. To samo robił z murarzami, szewcami, restauratorami i t. p. Przesiedlony mieszkaniec Miami mógł powrócić każdej chwili do rodzinnego miasta, pod warunkiem wszakże, że zmieni fach. Zdarzało się to nader często. Zresztą wogóle na całej przestrzeni Stanów Zjednoczonych ludzie zmieniali rodzaje pracy po kilka, kilkanaście, a czasem kilkadziesiąt razy w okresie Prosperity, zanim nie zdołali wypracować sobie „trwałego" business'u.

Wiele trudu kosztowało społeczeństwo amerykańskie zrozumienie wyjątkowej sytuacji obecnej, kiedy to piekarz nie znajdzie zajęcia, choćby przesiedlał się nieustannie z miejsca na miejsce i zmieniał wciąż rodzaje pracy. Powszechność bezrobocia została dopiero teraz zrozumiana przez ogół społeczeństwa.

J. K.

TEATR

„KRZYCZCIE CHINY" SERGJUSZA TRETJAKOWA W TEATRZE »NOWE ATENEUM«

Nie ulega wątpliwości, że sztuki takie osiągały i osiągają w Rosji Sowieckiej efekt zamierzony: ciężką łopatą wkładają prawdę w ciemne głowy, które trzeba uświadomić o niezliczonych zbrodniach, popełnionych na masach robotniczych i ludowych. Nietylko uświadomić, ale i podniecić do walki. Tym razem chodzi o krwawe bezprawia Anglików wobec proletarjatu chińskiego.

Tretjakow zapewnia, że powieść swoją (sztuka jest przeróbką z powieści) osnuł na wydarzeniach rzeczywistych. Nie wątpimy, bo takich i tym podobnych zbrodni popełniali Anglicy bez liku. Jak zresztą wszystkie państwa w swych „koncesjach"

i kolonjach. Uświadamiać o tem szerokie masy można i należy również w teatrze.

Nie racja to, żeby tego rodzaju prymitywne reportaże uważać za dzieła sztuki i wmawiać w publiczność o nieco wyższym poziomie, że powinna się takiemi utworami zachwycać. Sztuka Tretjakowa traci wszelkie znaczenie, jeśli sali teatralnej nie wypełniają te szare masy, do których autor przemawia odpowiednim stylem. Bo inaczej rodzi się taki nastrój, jak gdyby, naprzykład na estradzie Filharmonji zjawił się kataryniarz i zaczął wygrywać swoje melodyjki. Lud lubi katarynkę. Lubią ją też dzieci. Nie należy z tego powodu żądać, żeby w katarynce smakowali ludzie bardziej umuzykalnieni.

W teatrze „Nowe Ateneum" nie widać proletarjatu, nie widać tej publiczności, którą Tretjakow uświadamia i agituje. Stąd sytuacja cokolwiek paradoksalna. Może miał to na uwadze reżyser i zapragnął podnieść poziom spektaklu, którego treść przeznaczona jest dla masy najciemniejszej. Ponieważ tej masy w teatrze niema, więc dla inteligencji dało się oprawę oryginalną: reportaż stylizowany.

Ale tu się reżyserowi nie poszczęściło: najsłabiej wypadły te sceny, w które włożył najwięcej swego wysiłku. Żywe obrazy, rytmiczne i powolne ruchy tłumu, ustawianie się najbardziej „efektowne" raziły sztucznością, tembardziej drażniącą, że sztuka ma przekonywać swą realną prawdą.

Dekoracje Andrzeja Pronaszki — znakomite.

J. W.

„3 PARY JEDWABNYCH POŃCZOCH" WEDŁUG POWIEŚCI PANTELEJMONA ROMANOWA, W TEATRZE KAMERALNYM

Przeróbka sceniczna głośnej powieści Romanowa tak została sporządzona, że otrzymaliśmy nie jedną, lecz dwie sztuki w jednym spektaklu. Pierwsza o stosunkach w muzeum, w którym rządy obejmują przedstawiciele proletarjatu, usuwając starą inteligencję. Na tem tle — sceny i rozmowy, znane już ze sztuk u nas wystawianych („Człowiek z teką" i „Strach"). Druga sztuka, nie mająca bezpośredniego związku z tamtą, to dzieje Tamary, „rwącej się do życia", tęskniącej za zbytkiem i rozgłosem — poprzez liczne romantyczne perypetje, poprzez jej znów „dzieje grzechu".

Ta druga sztuka jest nieporównanie silniejsza. Tam — stereotypowe już figury i djalogi, tu — żywi ludzie. Ich dzieje — to dramat mieszczański na tle stosunków sowieckich w pierwszych latach po rewolucji. Niektóre postacie przypominają aż do złudzenia różne typy i typki ze sztuk Zapolskiej (np. postać megery Kislakowej, miłe „sąsiadki", jak Pieczonkina, stręczycielka Musia).

Jeżeli przeróbkę tę warto zobaczyć, to przedewszystkiem dla znakomitej gry Adwentowicza. W niektórych scenach (jak np. czytanie listu Tamary) wzniósł się do wyżyn mistrzostwa. Rolę Tamary doskonale gra Irena Grywińska, świetnie uwydatniając mieszaninę marzycielstwa i cynizmu, porywów romantycznych i wyrachowania. Na słowo uznania zasługuje również p. Kawińska w roli Kislakowej, może tylko chwilami daje postać już nazbyt odrażającą. W sztuce „pierwszej" zwrócił uwagę prostotą i bezpośredniością p. Feliks Żukowski w roli Połuchina. *W.*

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

OPOWIADANIA IWASZKIEWICZA

Mam słabość do pisarzy, pochodzących z kresów wschodnich, a w szczególności z dawnych ziem ruskich Rzeczypospolitej: z Wołynia, Podola, Ukrainy. Źródło tego sentymentu odkryłem wreszcie w sobie, gdy przed wojną na lat kilka udało mi spędzić szereg miesięcy na Ukrainie, w tym najpiękniejszym kraju słowiańskim, owianym niezniszczalnemi emanacjami półksiężyca. Nigdzie niema takich pól, podobnych do morza, falistych, z gubiącym się gdzieś tam horyzontem; nigdzie na wsi nie pachną tak w parne letnie noce sady i pasieki; nigdzie dziewczęta wiejskie nie mają takich czarujących i gorących oczu i nie śpiewają takich smętnych, miłosnych pieśni, przejętych chyba jakimś czarem od ukraińskich branek — odalisek w haremach Carogrodu i Bakczysaraju.

Bardzo wielu ludzi urodziło się i wychowywało nie w swoim psychicznym klimacie, przez figiel złośliwego losu, czy przez przypadek, a ku swojej, a często nietylko swojej udręce. Uważam za pieszczochów losu ludzi, którym udało się ujrzeć świat i wzrastać we własnym psychicznym klimacie. Tacy nie potrzebują przedzierać się w sobie przez gąszcz narzuconych ich psychice przez obcy klimat właściwości i dokopywać się ciężkim trudem zatraconych, atawistycznie ścigających ich w innej atmosferze cząstek swego najgłębszego ja.

Jarosław Iwaszkiewicz urodził się i wzrastał w Kijowszczyźnie. I dlatego mógł napisać przed laty przepiękną opowieść „Ucieczka do Bagdadu", a teraz *„Panny z Wilka"*. W tych dwóch opowiadaniach jest bardziej sobą, niż w niektórych poezjach, gwałtem nasycanych obcym mu, zachodnim intelektualizmem, lub w swych powieściach „Hilary syn buchaltera", „Księżyc wschodzi" i „Zmowa mężczyzn". „Panny z Wilka" nie znają rodzinnych stron autora — Ukrainy. Ale przecie nie o to chodzi. Ona mu dała ten bezpośredni kontakt z przyrodą, bujną, radosną, a wraz smętną; z niego wydobywa Iwaszkiewicz swe pejzaże, tak malarsko czyste, a tak zmysłowe. Stąd pochodzi jego sensualizm, niezwykle subtelny w swych zuchwałych porywach, (wspomnienia Wiktora, bohatera „Panien z Wilka" o kilku przedziwnych nocach, spędzonych ongi z jedną z nich; pamięć o drugiej siostrze, nieżyjącej Feli, utrwalona momentem ujrzenia jej o zachodzie słońca, gdy stała na łące po wyjściu z kąpieli, naga, przeświadczona, że nikt jej nie widzi). Tych sześć panien, towarzyszek wieku młodzieńczego odwiedza Wiktor, sam młody jeszcze (37 lat) i przystojny mężczyzna po piętnastu latach niewidzenia.

Zastaje zażywne damy, mężatki, rozwódki lub prawie rozwódki, jedna zmarła, jedna dziecko wtedy, jeszcze panna teraz. Rozważając co mu swobodnie dziś wyznają te dojrzałe kobiety, (jak się w nim kochały na zabój), Wiktor, mówi autor, „był przerażony przepaściami swej ówczesnej nieświadomości" Ale dziś widzi jednocześnie, że stał się odludkiem i, nie zaznawszy nigdy miłości, nie ma odwagi z tego miłego mu domu wziąć sobie towarzyszkę życia, ową przypominającą mu piękną, zmarłą Felę, najmłodszą z sióstr, pannę Tumę (lat 22), któraby wcale nie była od tego, gdyby się do rzeczy wziął po męsku. A właśnie na to go nie stać — i ten Wiktor może wzbudzać ostatecznie współczucie, ale nie jest

sympatyczny, właśnie przez tę swoją wiecznie niezdecydowaną postawę wobec sprawy życiowej, której wagę powinien mu był odsłonić sam instynkt.

Bo to jest in spe stary kawaler, że tak powiem, nieusprawiedliwiony: ani żaden głęboki zawód miłosny, ani strata ukochanej osoby, ani zamiłowanie do garsonjerskich nawyknień. Ot jakiś marazm woli, w tej dziedzinie, tchórzostwo wobec życia.

Wszystkie dawne panny z Wilka (majątek się nazywa Wilko), w swem poczuciu rzeczywistości są realniejszemi pozycjami świata, niż ten młody safanduła.

Rzecz jest napisana kapitalnie.

Drugą połowę najnowszego tomu Iwaszkiewicza zajmuje nowela „Brzezina". To dzieje młodego życia, skazanego na rychłą zagładę (gruźlik zaawansowany), który we frenetycznym pośpiechu pragnie wyzyskać ostatnie dary, jakie zdobyć jeszcze może przed opuszczeniem ziemi. Prosta, ładna, wiejska dziewczyna jest tym darem, a jednocześnie powodem głuchej niechęci, a w pewnych chwilach nawet wrogości brata — wdowca, do którego ów Staś — suchotnik przyjechał umierać z Davos na polską leśniczówkę. Nowela jest ponura w zasadniczym swym nastroju, trochę rozwlekła i trochę... autorowi obca. Ale i tu, jak w „Pannach Wilka", proza Iwaszkiewicza ma swój wysoki, artystyczny walor i wdzięk żywotności niepodrabianej.

Wacław Rogowicz

O SZTUKACH, KTÓRYCH SIĘ NIE LUBI POKAZYWAĆ NA SCENIE

Na scenie zazwyczaj pokazuje się jakiś kawałeczek czy odcinek życia. Na różne sposoby. Tak jak jest i tak jak nie jest, w stylizacji, w grotesce, w skrócie, w syntezie, w karykaturze, na ponuro, na wesoło, w zwolnionem tempie w stosunku do rzeczywistości, co jest nudne i w przyśpieszonem, co automatycznie zniewala do patrzenia. Jakiekolwiek są jednak sposoby tego „przedstawiania" i jakkolwiek emocjonującym byłby przedstawiany odcinek, to niemniej jest on tylko odcinkiem widzianym w polu widzenia lornetki. Inne sąsiadujące z nim i sąsiadujące z sąsiadującemi pozostają nietknięte. Inaczej mówiąc: cokolwiek się dzieje na scenie, to nie przeszkadza całej reszcie życia, nie porusza jej...

Jeżeli jednak przeszkadza i porusza? Jeżeli zazębia się o nią w sposób nieznośny, podaje ją w wątpliwość, lub — co gorsza — nie godzi się na nią, podważa ją i kruszy? Jeżeli przedstawiany odcinek nie jest już odcinkiem, tylko samem sednem dnia dzisiejszego? Co wtedy? Czy scena ma chętnie pokazywać takie sztuki? Sądzę, że nie. Że to i niewygodnie i niepraktycznie. I to tem bardziej niebezpiecznie, im większą jest przypuszczalna ilość widzów, którzyby właśnie taką sztukę chętnie oglądali.

Więc właśnie nie zobaczą jej. Tylko przeczytają w wydaniu książkowem, zmieniającem i osłabiającem wrażenie, rzeczy stworzonej do wnikania ze sceny w samo serce widza.

Tak się dzieje ze sztukami Ewy Szelburg Zarembiny, z tą wydaną w zeszłym roku „*Ecco Homo*" i z tą, nową, co się dopiero teraz ukazała pod tytułem: „*Sygnały*".

Nie wiele pomógł pierwszej z nich ów ewangeliczny, że tak powiem, element — pomieszany z rzeczywistością domu noclegowego czy ulicy — w dziwny, tej autorce właściwy sposób, ryzykowny, a w danym wypadku poprostu natchniony i taki, na jaki tylko wielki talent może sobie pozwolić.

Nie wiele też zapewne pomoże „Sygnałom" ów żywioł bajki, czy baśni, niby to łagodzący ostrość faktów, jednocześnie zaś i przedewszystkiem stanowiący doskonały łącznik pomiędzy wspaniałym realizmem głodu w chacie na rozstaju, a częścią drugą, przedstawiającą w alegorjach dzisiejszy świat z jego rozterką, nędzą i kontrastami, — złotem, rozkwitem, schyłkiem i końcem kapitalizmu. Próba syntezy dnia dzisiejszego, próba udana, bo znowu — rzecz dziwna — alegorja z natury swojej sztywna i raczej oddalająca od rzeczywistości w tym wypadku naskutek daru autorki zbliża do niej, nieledwie nią jest:

„...zostały z nas tylko ręce.
Jesteśmy roboczemi rękami,
Ręce, ręce, same robocze ręce...
Zlewa, zprawa, wkrąg las rąk,
prężą się, kurczą, drżą, mdleją w męce ręce".

A praca maszyn dla dobra tych rąk przez „idealistę" Adama wymyślonych, tych stalowych tworów mających zastąpić „w każdym trudzie" człowieka, żeby nareszcie był, czem „być powinien", ta praca maszyn, jak śpiewa chór królów szmalcu, stali, bawełny i innych „na ich zysk się obraca"

„Z żywych roboczych rąk,
z maszyn, co stoją wkrąg
o każdej dnia godzinie,
zysk dla nas płynie".

Zaś sługa kościoła, z ramienia Wielkiego Kuglarza (figury alegorycznej przedstawiającej kapitał) mówi do tłumu kilka zbożnych słów o błogosławieństwie pracy.

No — czy można się dziwić, że scena nie ma ochoty przedstawić takiej sztuki?

Helena Boguszewska

PRZYPOMNIENIE

W czasach dzisiejszej reakcji i czerstwego chamstwa — człowieka intelektu nachodzą często chwile zwątpienia i depresji. Przygłuszony krzykiem politykierów, obdarzony przezwiskiem „zgniłego inteligenta", w gruncie rzeczy nie ceniony przez nikogo — zaczyna wprost tracić wiarę w rację swego istnienia. Taki stan rzeczy wytwarza głód optymizmu. Z radością witamy tedy nowe wydanie broszury Żeromskiego: „Organizacja inteligencji zawodowej". Wyszło ono staraniem Unji Zw. Zaw. Pracowników Umysłowych i zostało poprzedzone wstępem pióra H. Rygiera.

Optymizm, zawarty w tej broszurze, jest wyjątkowo krzepiący i posilny, a to dlatego, że — jak to podkreśla Rygier — Żeromski „z taką przenikliwością wskazał konkretne drogi, jakiemi toczyć się będzie realizacja dnia jutrzejszego, iż wszystko, co dziś się dzieje, jest jakby stopniowem wcielaniem w życie przez Niego podanych wskazań".

Wiele marzeń i wskazań Żeromskiego przyoblekło się już w rzeczywistość. Powstały i rozwijają się wielkie związki zawodowe inteligencji, sanatorja, domy uzdrowiskowe i t. p. Inteligencja przestała być „guwernantką, plączącą się bezradnie między „dworem", „chatą" i „służbą".

Natomiast wciąż oczekuje realizacji pomysł wielkiego zrzeszenia inteligencji, którego celem byłoby wykuwanie nowych idei.

Stronice, poświęcone temu zagadnieniu, są wyjątkowo aktualne. Żeromski podnieca ambicje, wskazując właściwą rolę inteligencji w budowaniu nowego, lepszego — a co najważniejsza — moralniejszego świata i już z tej racji jego broszura powinna być stale przypominana czytającemu ogółowi.

J. Waśniewski

W POSZUKIWANIU WIEDZY O CZŁOWIEKU

Minęła 60-ta rocznica urodzin Jakóba Wassermana, jednego z najpopularniejszych powieściopisarzy współczesnych.

Wasserman, w Polsce czytany zaledwie od kilku lat, pozyskał sobie oddawna liczne rzesze czytelników Europy zachodniej i Ameryki.

Życie Wassermana jest równie ciekawe, jak dzieje jego bohaterów. Sieroctwo, prześladowanie w szkole, głód i cierpienia w domu, samotność i tęsknota, były jego losem już w dzieciństwie. Potrafił już jednak wówczas, oszczędzając na jedzeniu, kupować w tajemnicy książki, które namiętnie pochłaniał. Pożerał go od najwcześniejszych lat głód wiedzy i ciekawość świata. Były one silniejsze niż rozsądek, niż trwoga przed prześladowaniem, niż wszystkie udręczenia, jakie mu przez to znosić przyszło. Wypędzony z domu za to, że nie umie pracować i oszczędzać, tuła się bardzo długo w bezplanowem poszukiwaniu pracy, która czasem znajdowana, nigdy na długo zatrzymać go nie zdoła, bo gdy chce się zmusić do wtłoczenia się w ramy codziennego życia, czuje się „złamany ostatecznie w najistotniejszej części swego stosunku ze światem".

Zrozpaczony i odtrącony przez wszystkich popada w złe towarzystwo, spędza noce w brudnych knajpach, bo ma „jakąś bezimienną potrzebę zapomnienia się w obcowaniu z ludźmi". Przeżywa ekstazy buntu. Dławi go troska o jutro i wzgardą przepaja go świat filistrów. Nędza jego dochodzi do tego stopnia, że żywi się w ciągu całych tygodni kawą i bułkami, których użycza mu na kredyt zaprzyjaźniony kelner podrzędnej knajpy, lub sałatą i serem, które litościwie mu składa poczciwa sąsiadka pod drzwiami jego mansardy.

W najcięższych nawet chwilach nie rezygnuje jednak z pracy pisarskiej.

Wreszcie przychodzi, dzięki przypadkowi, powodzenie i odtąd wzrasta coraz szybciej. Coraz też dojrzalsze stają się utwory Wassermana.

Rozpoczął od „Historji młodej Renaty Fuks". Poprzez bolesny sarkazm i gorycz, z jaką maluje otaczający go świat, przegląda uczucie jego własnego poniżenia. Ale potem szybko dochodzi do równowagi. W następnych utworach pojawia się gorączkowe poszukiwanie doskonalszej formy artystycznej.

W przeciągu dwóch dziesiątków lat skupionego a zawsze pełnego pracy życia tworzy Wasserman cały szereg dzieł. Jednem z najoryginalniejszych jest „Dziecię Europy, czyli Kacper Hauser" — historja tragicznej duszy dziecka, jedna z najbardziej porywających w swoim rodzaju książek, jakie pojawiły się od czasu słynnego „Oliwera Twista".

„Złote zwierciadło", „Człowiek złudzeń", „Sprawa Mauriziusa", stanowią w szeregu innych dzieł najważniejsze etapy twórczości Wassermana. Odrębny ton wniosła do niej powieść biograficzna „Krzysztof Kolumb". Dzięki niej stanął Wasserman w rzędzie tych pisarzy literatury światowej, którzy „odbronzawiają" historję i jej postacie, rozbijają zwietrzałe posągi bohaterów „z jednej bryły", których ukazują jako żywych ludzi, skomplikowanych psychicznie, targanych namiętnościami, a przedewszystkiem promieniujących prawdą.

Taką żywą, arcyciekawą postacią stał się „odbronzowiony" przez Wassermana Kolumb. Między tworem realnym a rzeczywistością ukazała się różnica wyjątkowo wielka i jaskrawa. W ciągu 20 lat wracał Wasserman ciągle do tej postaci myślą i studjami, zadając sobie wciąż niespokojne pytania: „Czy za to gotów jesteś ręczyć, a tamto — czyż nie jest legendą, czy te lub owe wypadki nie są apokryficzne, a te czy tamte ledwie prawdopodobne? Z nicości wyniesiony przybłęda — i nagle wielki Admirał Hiszpanji, wicekról ogromnych państw, a potem siedem lat splendoru i potęgi przypłaca nowym raptownym upadkiem i bezprzykładnem poniżeniem, wreszcie po słabej rehabilitacji umiera w zajpomnieniu śmiercią samotną. Niezwykły los".

W pracy Wassermana nie było tendencji do pomniejszenia Kolumba i postać ta, uczłowieczona, nie okazała się mniejsza, lecz inna.

Powieść o Kolumbie jest jedną z książek najbardziej fascynujących i bogacących wiedzę o człowieku.

Żywotność i bujność talentu Wassermana kazała mu pójść jeszcze w innym kierunku. Ostatnia jego powieść „Bula Matari" jest czemś zupełnie różnem od wszystkiego, cokolwiek poprzednio napisał; zarazem jest jakgdyby koroną jego dotychczasowej twórczości i duchową jego autobiografją.

Bohaterem jej jest słynny podróżnik John Rowlend zwany Livingstonem, spadkobierca wielkości Kolumba i jego tradycji eksploratorskiej, nieustraszony odkrywca lądów, zdobywca Afryki, biały człowiek, w którym dzikie plemiona widziały boską istotę, nazywając go „Bula Matari" („Zwycięzca Skały, Zdobywca Ziemi). Przemierzył Stanley w ciągu lat głodu i tułaczki wszystkie morza i oceany świata wszerz i wzdłuż, przewędrował równiki, poznał wiecznie młodą radość i niewygasający niepokój najdalszych podróży.

Żądza poznania świata gnała go wciąż naprzód równie nienasycenie, jak Wassermana — żądza poznania dróg wiodących do najpełniejszej wiedzy o człowieku.

Jadwiga Baranowska

SPOWIEDŹ MUZUŁMANKI*)

Urodziłam się w r. 1904 w Czustpap, w dolinie Fergany. Gdy miałam lat osiem, zakwefiono mnie. Ojciec mój był tkaczem, ja z matką haftowałyśmy czapki, moja siostrzyczka pomagała nam nawijać szpulki, a brat pracował u piekarza. Byliśmy bardzo biedni i dlatego byłam jeszcze niezamężna. Dopiero, gdy miałam czternaście lat, wydano mnie zamąż.

Naturalnie, mojego przyszłego męża nie znałam, nawet nie przeczuwałam tego, że jestem narzeczoną. Dopiero później dowiedziałam się, że wuj mojego narzeczonego (nie miał już ojca) był z imamem (duchownym) u mego ojca, by go zapytać, czy przyrzekł mnie już komu. Mój ojciec zaprzeczył, a oni poszli sobie.

Następnego dnia przyszli znowu, matka upiekła placek, ugotowała mięso z ryżem, piław, i herbatę i wręczyła gościom dla narzeczonego czapkę haftowaną srebrem. Mnie odesłano do sąsiadki, gdzie pozostałam od rana do zachodu słońca. Żadnej dziewczynie nie wolno być w domu, dopóki są tam krewni jej przyszłego męża — jest to przepis religijny, lecz ja go nie znałam i nie odgadłam, dlaczego wysłano mnie z domu. Gdy goście wyszli, przyprowadzono mnie z powrotem, zjadłyśmy resztki piławu, który goście pozostawili i zmywałyśmy statki.

Jako cenę za mnie ustalono: dwa wielbłądy, cztery pudy pszenicy, dwie juki drzewa, trzy pudy ryżu i krowę, trzy koce z sierści wielbłądziej, chałat i dwie suknie. Tych rzeczy nie dostaliśmy nigdy, wuj jego przyniósł tylko koce i suknie. Nie podobały się one mojej matce. „Parszywe! Nawet nie jedwabne", powiedziała, a jego wuj odrzekł: „Jesteśmy ludzie biedni"..

W kilka dni później dowiedziałam się od matki, że mam wyjść zamąż. Czułam się bardzo nieszczęśliwa, że muszę iść z domu i że moich przyjaciółek nie będę widywała przez dwa lata. W pierwszych dwóch bowiem latach małżeństwa kobieta nie może nikogo przyjmować, ani nikogo odwiedzać. Również nie wiedziałam, czy mój narzeczony jest młody, czy stary, i ile już miał żon. Nie wolno mi się było o to pytać.

W trzy tygodnie po swatach, przygotowaliśmy dużo jedzenia, przyszli krewni, potem mułła z narzeczonym. Dzieci przybiegły do mnie, do „iczkari", gdzie siedziałam razem z obiema córkami naszej sąsiadki.

— Chasjad, widzieliśmy twego męża.

Moje przyjaciółki pytały (ja nie odważyłabym się na coś podobnego):

— Czy jest stary?

— Nie, nie stary i ma jedwabny chałat.

— Więc w jakim jest wieku? — pytały moje przyjaciółki. Mnie zrobiło się tak, że ze wstydu skoczyłabym do studni.

— Jest w wieku brata Chasjady.

Ta odpowiedź uradowała mnie, gdyż byłam przekonana, że ponieważ byliśmy tak biedni, oddadzą mnie starcowi.

Matka, która dotąd stała przy ognisku na podwórzu, kazała mi ubarwić paznokcie henną, brwi wysmarować tłuszczem i włożyć odświętną suknię. Po godzinie lub dwóch przyszedł jego wuj do nas, tylnem wejściem i zawołał: „Teraz".

Włożyłam zasłonę i podeszłam do drzwi, które były zamknięte. Zewnątrz stał mułła, modlił się i pytał mnie przez drzwi, czy zgadzam się wyjść zamąż. Matka dała mi znak, bym milczała. Trzykrotnie powtórzył mułła pytanie, dopiero przy czwartem wolno mi było odpowiedzieć: „Ha" (Tak).

Wystąpiło dwóch krewnych mojego męża, rozłożyli dywan i pozostawili na nim herbatę i pieczywo. Potem wprowadzili mojego męża, i on usiadł na dywanie.

Poraz pierwszy byli obcy mężczyźni w izbie dla kobiet; matka moja, przyjaciółki i ja, stałyśmy zakwefione w kącie, z twarzą zwróconą ku ścianie i płakałyśmy.

Potem wszyscy opuścili izbę, i ja zostałam sama z moim mężem. Zawołał „Chasjad" i ja usiadłam obok niego, odwrócona, tak że nie mogłam go widzieć. Nalał herbaty do „piali" i podał mi ją. Potrząsnęłam głową, nie mogłam pić, drżałam jak struna. Wtedy wypił herbatę sam, i podał mi pieczywo, lecz ja pieczywa także nie tknęłam. Nie mówiliśmy do siebie ani słowa. Po chwili klasnął w dłonie, weszła moja matka, zabrała dzbanek i filiżanki i zaryglowała drzwi z zewnątrz.

On zbliżył się do mnie i zdjął mi zasłonę. Serce biło mi jak bęben. Wstydziłam się odsłaniać przed obcym mężczyzną, bałam się, że mu się nie będę podobała.

W tej chwili widzieliśmy się poraz pierwszy.

On skinął na mnie przyjaźnie, rozłożył do snu poduszki na dywanie; leżeliśmy aż do rana, jak brat i siostra. Nie pocałował mnie ani razu.

Trzy dni mieszkał w moim ojcowskim domu, jak tego wymaga obyczaj, potem wprowadziłam się do niego. Tu dopiero dowiedziałam się, że jestem jego jedyną żoną; pytać go o to nie śmiałam.

Żyliśmy półtora miesiąca razem i on mnie nie tknął. Wtedy, pewnego dnia powiedziała do niego siostra: „Czy ty się nie wstydzisz? Masz już osiemnaście lat, a zachowujesz się jak „Bacza", (chłopiec, służący pederastom).

— Żal mi jej — odrzekł mój mąż, — ona tak się tego boi.

Siostra uwarzyła pasztet z mięsa i dodała do niego „naszy", oszołamiających korzeni. Musiałam to jeść i straciłam od tego przytomność. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Następnego dnia miałam wysoką gorączkę, pięć tygodni leżałam ciężko chora i majaczyłam.

Mąż mój był robotnikiem przy uprawie bawełny, lecz od r. 1919 nie uprawiano w dolinie Fergany bawełny, dlatego, po sześciu miesiącach, jakie minęły od zawarcia naszego małżeństwa, poszedł do Taszkentu szukać pracy. Tam zmarł na zapalenie płuc. Ponieważ nie miał brata, któremu przypadłabym jako dziedzictwo, powróciłam znowu do domu ojca, siedziałam w nim półtora roku i haftowałam czapki.

Pewnego wieczora przyszedł do nas brat mojej matki, bardzo podniecony; słyszał, że basmacze

*) Rozdział z książki znakomitego reportera Egona Erwina Kischa: „Asien gründlich verändert", która niebawem ukaże się w autoryzowanym przekładzie Wacława Rogowicza. Książka ta obrazuje głębokie przemiany społeczne i obyczajowe w Azji Środkowej pod wpływem reform sowieckich.

(rozbójnicy) w sąsiedniej wsi porwali wszystkie kobiety i dziewczęta, a dziś naszą wieś chcą napaść. Ja i moje obie kuzynki, Obidabi i Sobira, przebrałyśmy się za stare kobiety i uciekłyśmy w towarzystwie mojego wuja, pieszo w góry. Po dwóch dniach byliśmy w Kokandzie. Tam wuj oddał nas „iszanowi", kapłanowi - cudotwórcy, ze słowami: „Mięso jest wasze, lecz kości są nasze". Miało to znaczyć: rób z niemi co chcesz, gdy umrą, my je pogrzebiemy.

Wuj pożegnał się z nami, a my zostałyśmy w domu iszana Rachmatullaha, jako służące. Miał on cztery żony i jedną starą służącą, które nas ganiały. Cały dzień siedzieli w domu muridzi, pomocnicy kapłana, albo przychodzili goście do Rachmatullaha po rady i ci przynosili mu podarki. Musiałyśmy ciągle krajać cebulę do piławu, gotować herbatę lub zmywać statki w aryku. Pięć miesięcy spałyśmy i pracowałyśmy w przebraniu starych kobiet, nie dostawałyśmy żadnego wynagrodzenia, tylko herbatę i chleb.

Codziennie przychodził murid Hakim Said, koślawy starzec, którego nie cierpiałyśmy. Temu widmu dał iszan Obidabi, starszą z dwu moich kuzynek za żonę, chociaż Hakim Said miał już dwie inne żony w domu.

Na wesele zjawił się mój wuj. Przyniósł mi wiadomość, że ojciec nie żyje. Basmacze zabili go, gdyż przypuszczali, że schował mnie przed nimi. W oczach mojej matki rozpłatali mu głowę szablami.

Wuj powiedział do mnie: — Jeżeli przyjdzie ktoś do nas by cię wziąć za żonę, wydamy cię powtórnie, o ile będzie mógł wykupić cię od świętobliwego iszana. W domu niema za wiele jedzenia. — Prosiłam go wtedy, by mi przynajmniej przysłał moją suknię. Przyrzekł mi to zrobić.

W kilka dni po weselu Obidabi, zachorowała młodsza żona iszana Rachmatullaha; pluła krwią. Wezwano Tabiba, znachora, i ten polecił chorej przez tydzień jeść zupę z żab.

Stara służąca wzięła szczypce i woreczek i poszła ze mną nad bagno łapać żaby.

Kilkakrotnie próbowała wpakować do woreczka, lecz żaba ciągle wyskakiwała. Dopiero, gdy mnie oddała szczypce, udało się nam schwytać dwie żaby i przynieść je w woreczku do domu.

Następnego dnia wysłano mnie samą. Złapałam już jedną żabę, gdy nagle usłyszałam muzykę. Pobiegłam na główną ulicę i zobaczyłam coś, czego nigdy w życiu nie uważałam za możliwe: długi pochód kobiet, które maszerowały za orkiestrą i śpiewały. Wiele z nich miało twarze odkryte. Na ulicy! Dwie kobiety niosły kije, między któremi była czerwona płachta z jakimś napisem. Niektóre coś wołały, ja poszłam za niemi, by usłyszeć co wołały. Wkońcu zrozumiałam: Jaszasun chotunlar osodleri — niech żyje wyzwolenie kobiety!

Poszłam z niemi, z workiem z żabą i szczypcami w ręku. Weszłyśmy w podwórze, gdzie stały stoły z herbatą, ciastem i jabłkami. Nie śmiałam usiąść z niemi. Jakaś kobieta — jak się później dowiedziałam, nazywała się Ibrahimowa — weszła na trybunę, miała przemówienie, opowiadała o naszem życiu, rzekła, że to jest bezprawie, że mężowie wolno żonę bić, że kobietom nie wolno się uczyć i muszą chodzić zasłonięte przez całe życie. „Dziś mamy ósmy marca, jest to dzień kobiet". W dniu tym musi być zwrócona uwaga wszystkich kobiet na to, że są one takimi samymi ludźmi jak i mężczyźni".

Stałam jak wryta. Byłoby bardzo pięknie, gdyby kobiety były tak wolne, jak mężczyźni, lecz czy nie zabronił tego Ałłach? Wszystko to, co te kobiety mówiły, było grzechem. Tylko grzechem! Napewno ukamienują tę kobietę, gdy tylko skończy mówić. Lecz wszystkie wołały tylko: „Jaszasun chotunlar osodleri", a niektóre odrzuciły zasłonę.

Ciągle jeszcze stałam odrętwiała. Ibramimowa zachęcała mnie bym usiadła. „Boję się — odrzekłam, — mieszkam u pewnego iszana. Gdy dowie się, czemu się tu przysłuchiwałam, zabije mnie".

— Czy iszan jest twym mężem?

— Nie, jestem jego służącą.

Ibrahimowa pytała mnie, czy mam męża i gdzie jest mój ojciec, a ja odpowiedziałam, że jestem wdową i ojciec mój już nie żyje.

— Czy chciałabyś się uczyć?

— Uczyć się? Przecież jestem kobietą!

Wtedy objaśniła mi, że emir już nie panuje, żadnemu człowiekowi nad drugim niewolno mieć władzy, nawet beyowi, wszyscy ludzie powinni się uczyć, kobiety także.

Czegoś podobnego nie słyszałam jeszcze nigdy, powiedziałam więc:

— Chciałabym chętnie czegoś się uczyć. Weźcie mnie do siebie, nigdy już nie wrócę do iszana, jeżeli mnie przyjmiecie.

— Dobrze. Lecz wypij najpierw herbatę.

Zdjęłam zasłonę i położyłam obok siebie na lewo, na prawo zaś szczypce i woreczek, w którym ruszała się żaba. Bałam się, że zabiorą mi zasłonę, lub że żaba wyskoczy z woreczka i wszyscy wyśmieją mnie. Strasznie się wstydziłam tej żaby.

Po wypiciu herbaty włożyłam znowu zasłonę, zabrałam moje rzeczy i poszłam z Ibrahimową; po drodze wyrzuciłam szczypce i żabę.

Przyszłyśmy do dużego domu. Był to wspólny dom dla uczenic. Ibrahimowa przedstawiła mnie jakiejś kobiecie i pożegnała się ze mną. Wreszcie, wreszcie dostałam nową suknię, i kobieta zaprowadziła mnie do łazienki. Nigdy dotąd nie widziałam wanny. Najpierw bałam się wejść do niej, lecz później, najchętniej byłabym w wannie pozostała. Potem weszłam pod prysznic. W sypialni mieszkało jedenaście młodych kobiet. Poraz pierwszy w życiu położyłam się do łóżka, zdawało mi się, że jestem w Djamat Bihiszi, w raju.

Następnego ranka poszłam do sali szkolnej, zaczęłam uczyć się alfabetu. Inne znały już wiele liter i cyfr, podziwiałam je bardzo, lecz także i ja dość szybko uczyłam się pisania, czytania i rachowania.

Gdy wychodziłam, nosiłam zasłonę. Moje koleżanki radziły mi czarczaf zostawić w domu, lecz ja odpowiedziałam, że ktoś z domu iszana może mnie poznać i mogliby mnie odebrać z powrotem.

Gdy już byłam w szkole dziewięć miesięcy, zapytał mnie kierownik gospodarczy, czy matka moja wie, że tu jestem. „Sądzę, że wie o tem", odrzekłam, gdyż byłam przekonana, że iszan wytłumaczył sobie moją ucieczkę demonstracją w dniu kobiet. Iszan Rachmatullah uchodził przecież za najmądrzejszego człowieka w całym okręgu Kokandy.

— Napiszę do twojej matki, że tu jesteś.

(Dok. nast.)

O POSTĘPIE W RELIGJI

(Dokończenie).

II.

Mówimy o postępie nauki, kiedy dostarcza nam ona coraz więcej wyjaśnień niezrozumiałych dotąd faktów i stosunków między zjawiskami życia i natury. Mówimy o postępie techniki i przemysłu, kiedy uzbrajają człowieka w coraz to silniejszą broń dla walki z naturą, zwiększając wydajność pracy, czyniąc ją jednocześnie coraz mniej uciążliwą.

Jakże natomiast trudno jest zastosować jakiekolwiek normy postępu do religji. O ile w danej chwili swego rozwoju — powiada Rejnach[1]) — religja zadawalnia całkowicie człowieka wierzącego, zaspakaja jego wątpliwości i religijne potrzeby, o tyle *sub specie religionis* nic nie daje nam prawa do zadecydowania, że dana forma religji jest wyższa lub niższa od innej jej formy historycznej. O tem decydować, i to w sposób wysoce subjektywny, może jedynie historyk wierzący: uważając swoją własną religję za doskonałą, wartość i postęp innych systematów religijnych będzie mierzył większym lub mniejszym podobieństwem do tej jego własnej religji. Lecz jasnem jest, że każdy wierzący historyk, w zależności od religji jaką wyznaje, będzie inaczej oceniał rozwój i postęp religijnych wierzeń; czyli, że jego pojęcie postępu w religji nie może mieć żadnej pozytywnej, objektywnej wartości. Dlatego też historyk - racjonalista, pragnący ustanowić jakikolwiek podział religji na jej formy niższe i wyższe, nie może norm takiej oceny szukać w samej religji, lecz nazewnątrz jej, a mianowicie: w stosunku religji do innych dziedzin życia jednostki i społeczeństwa.

Religje, tak samo, jak nie zawierają w sobie takich sprawdzianów, któreby pozwoliły na klasyfikację różnych religji według ich wartości z punktu widzenia postępu, tak samo nie posiadają żadnej, że się tak wyrażę, *zasady ruchu*, zasady zmienności i rozwoju. Każda religja sama przez się jest unieruchomiona, bo każda uważa się za posiadaczkę prawdy absolutnej i najskuteczniejszych sposobów osiągnięcia łaski bożej dla swych wiernych; najmniejsze uchylenie się od jakiegokolwiek obrządku wydaje jej się niebezpiecznem; wszystko do najmniejszych szczegółów, jest w religji jednakowo ważne: *paria peccata*. Duch konserwatyzmu jest istotą religji, nie może się ona rozwijać *per se*, jest unieruchomiona w swej istocie, lecz uruchomiona siłą wpływów zewnętrznych.

Gdyby materjalny, moralny i społeczny stan danego narodu pozostawał w niezmienności, wtedy nie zmieniałby się też stan jego życia religijnego. Znamy przykłady niezmienności religji wobec zastoju całego moralnego i psychicznego życia danego społeczeństwa. Jaskrawym przykładem jest tu judaizm i życie mas żydowskich: zastój umysłowego i obyczajowego życia żydowskich mas sprawił, że w judaizmie od tylu stuleci nie zaszły żadne istotne przeobrażenia, że judaizm ma dzisiaj dla mas żydowskich taką samą rację bytu, jaką miał w zamierzchłej przeszłości; powiadam, że ma on rację bytu jedynie z tego względu, że całkowicie odpowiada umysłowemu poziomowi mas, że w umyśle ciemnego Żyda nic się nie przeciwstawia judaizmowi.

Zastoju w religji nie należy kłaść na karb jakiejś tajemniczej siły tradycji wierzeń religijnych, lecz tłumaczyć należy względną niezmiennością umysłowego życia społeczeństwa, wyznającego daną, pozostającą w całej swej nienaruszoności religję. Te zaś wierzenia religijne, które nie odpowiadają już, a nawet przeczą charakterowi codziennego życia, nawet ciemnego człowieka, te wierzenia pozostają jednak w swej mocy, jako — według psychologji wierzącego — nierozerwalne składniki całego systematu religijnego, który, jak powiedzieliśmy, ma jeszcze rację bytu. O sile tradycji wierzeń religijnych można mówić jedynie wtedy, kiedy pozostają one w swej mocy mimo zmian jakie zaszły w życiu społeczeństwa, a wytłumaczyć ich siłę tradycji można tylko tem, że uważane są za nierozerwalnie związane z całym religijnym systematem, który nie zmienia się wobec niezmienności podstaw psychicznego życia danego społeczeństwa.

W społeczeństwach, gdzie lud pozostaje w swej ciemnocie, mimo postępu klas oświeconych, wszelki wpływ wiedzy i kultury na religję i instytucje wyznaniowe jest niezmiernie nikły. Żaden rozwój wiedzy, żadne zdobycze nauki, żadne dorobki kultury i cywilizacji nie są w stanie osłabić kadrów organizacji wyznaniowych, póki te zdobycze i te dorobki nie przenikną w masy.

***

Prawie wszystkie religje zawierają w sobie znaczną dozę pojęć moralnych oraz po za obrządkami i wierzeniami, stanowią taki lub inny światopogląd. Nie potrzeba długo dowodzić, że nowe pojęcia moralne, filozoficzne i naukowe wpływają *przedewszystkiem* na pojęcia tej samej kategorji, zawarte w religji. Skoro odbywa się postęp tych dziedzin duchowego życia (nauka, moralność), których pierwiastki zawiera w sobie systemat religijny, muszą się też odbywać przeobrażenia tych właśnie pierwiastków, bo aczkolwiek w przeciętnym umyśle ludzkim mieści się zawsze pewna doza sprzeczności, to jednak umysł nie jest, jako magazyn, i *każde wzniesienie się na wyższy stopień świadomości jest obniżeniem stopnia dysharmonji w umysłowym życiu jednostki.* Zasadniczą cechą rozwoju umysłowego jest coraz silniejsza świadomość wszystkich sprzeczności w umyśle zawartych, a przez to samo wzrastająca wciąż potrzeba pogodzenia wszystkich wyobrażeń, pojęć i uczuć. Widzimy więc, jaką drogą ideja postępu przeniknąć musi do dziedziny religijnego życia ludzkości: wszystko, co w systemacie religijnym odpowiada moralnemu i umysłowemu poziomowi danej epoki, musi z konieczności przystosowywać się do powszechnego postępu moralności i wiedzy, czyli zmieniać się lub też zanikać zupełnie, i to pod groźbą śmierci dla samej religji. Zaś wszystko to, co w religji przekracza sferę doświadczenia i poznania, zmianom nie podlega lub może nie podlegać. Czyli, że, *postępem w religji jest jedynie jej przystosowywanie się do ogólnego postępu innych dziedzin umysłowego życia ludzkości.*

Stąd pochodzi jeden z tych pozornych paradoksów, że im mniej dana religja zawiera w sobie pierwiastków moralności i danych naukowych, tym większą

---

[1]) Niektóre z wyrażonych w niniejszym rozdziale myśli zaczerpnąłem z prac profesora Teodora Rejnacha.

posiada siłę trwałości i niewzruszoności. Do takich religji należą np. starożytne religje Egiptu i Grecji. Oprócz nieznacznych zmian w hierarchji bogów Panteonu egipskiego i helleńskiego Olimpu, zmian wywołanych przeobrażeniami w politycznym ustroju Egiptu i Grecji (ustrój polityczny zawsze wpływał na hierarchję bogów w religjach politeistycznych), oprócz tych zmian, powiadam, obie te religje były zupełnie takie same w końcu swego istnienia, jak i na zaraniu, postęp moralności nie wpływał na te religje, ponieważ nie zajmowały się one moralnością w naszem znaczeniu tego słowa; wpływ postępu naukowego również był nikły, ponieważ religje egipska i grecka nie posiadały dogmatów, lecz jedynie myty i obrządki, a tak jedne, jak i drugie dawały się tłumaczyć, jako alegorje i symbole; zaś dzięki takiego rodzaju interpretacji wierzeń i praktyk mogły one nie stanowić rażącej sprzeczności z naukowym światopoglądem. I tem tłumaczy się owo pozornie dziwne współistnienie naiwnej religji i wielkiej nauki wśród narodu, posiadającego tak wielką cywilizację, jak Grecy. Nawet szkoły filozoficzne znajdowały sposób zupełnego pogodzenia religji i nauki: stoicy odnajdywali w mytach ludowych obrazy swych własnych doktryn. Epikur w swoim systemacie wyznacza bogom miejsce dość zaszczytne: nie przeczy to ani jego fizyce ani jego nauce moralności, gdyż bogowie ci, nic wspólnego z nauką i moralnością nie mają, są jeno biernymi widzami świata, którego nie stworzyli i którym nie kierują. Słowem, postęp w religji nie odbywał się, jeżeli religja nie zawierała w sobie pierwiastków tych dziedzin życia umysłowego, które ulegają ewolucji.

***

Zupełnie inne zjawisko dostrzegamy w tych religjach, które, czy to w epoce swego powstawania, czy też w miarę rozwoju zbogacały się, przyswajając sobie przepisy moralne, teorje kosmologiczne i wiadomości historyczne. *Ponieważ zarówno moralność, jak i nauka są to siły par excellence ewolucyjne, stąd, im w większej dozie zawarte są w religji, tym silniejsze odbywają się w niej przeobrażenia i zmiany na korzyść postępu.*

Religja, nie mogąc nieskończenie oddalać się od nowych wymagań życia umysłowego, musi albo wyeliminować z siebie wszystkie pierwiastki naukowe, co zmniejszyłoby jej autorytet, lub też przystosować je do nowych danych naukowych, co właśnie stanowi postęp religijny. Sam proces tego postępu jest niezmiernie utrudniony i powolny w t. zw. religjach uniwersalnych, posiadających swoją silną etykę i kosmologję, opartych na księgach świętych i mających swoje rzekomo nieomylne autorytety. W tych warunkach postęp odbywa się drogą szeregu kompromisów, oraz przy pomocy sztucznej egzegezy, dopatrującej się w świętych tekstach myśli, jakich nigdy nie mieli ich autorzy; przez chęć pogodzenia wiary z wiedzą, wierzący zaczyna traktować treść księgi świętej, jako zbiór wzniosłych symbolów i alegorji, które, jako takie, nie mogą wiedzy przeczyć. Tak np. zrodził się postępowy chrystjanizm współczesnych modernistów. Taka interpretacja ksiąg świętych jest pierwszem wielkiem zwycięstwem wiedzy nad dogmatem, pierwszym krokiem do nadania religji charakteru postępowego, ponieważ w miarę rozwoju nauki, człowiek wierzący wkładać będzie coraz to inną treść w te rzekome symbole i alegorje.

Józef Wasowski

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Czarna chmura reakcji niemieckiej zasłoniła doszczętnie horyzont polityczny. Już minął miesiąc od czasu, jak potworne cielsko hitleryzmu zdławiło w swych uściskach kulturę niemiecką i wyzyskało wszystkie środki, aby podeptać ludzkość, poniżyć jednostkę i zamknąć usta ogółowi.

Wszystko to w imię „odrodzenia narodowego"! Fałsz tego hasła już po czterech tygodniach jest widoczny w całej okazałości. Do odrodzenia narodowego, do budowy uczuć patrjotycznych potrzeba przecież jakichś czynników twórczych. Narazie od miesiąca oprócz bicia Żydów i ludzi o semickim wyglądzie nikt ze sfer rządzących nic nie robił.

Wystarczy przerzucić tylko niektóre dokumenty chwili, aby stwierdzić upadek wszelkiego ducha twórczego i myśli zapładniającej pracę.

Mało kto zwrócił uwagę na 10 przykazań ogłoszonych w Darmsztacie przez premjera lokalnego rządu Hesji dla prasy.

Oto przykazania Nr. 5: „Od sprawozdania wymaga się prawdy. Pośpiech może być na drugim planie. Prawda i jasność są dziesięć razy ważniejsze, niż sławetne tempo lub żydowski pośpiech."

Pięknie! A któż będzie określał, co jest prawdą i jasnością wedle zrozumienia przykazania Nr. 5, a co „żydowskim" pośpiechem?

Odpowiedź na to pytanie daje przykazanie dziesiąte. Mówi ono: „Zadaniom swoim odpowiedzieć może prasa tylko wówczas, jeżeli zatrudnieni w niej będą (o ile to dotąd jeszcze nie stało się) wyłącznie pracownicy o światopoglądzie nacjonal-socjalistycznym. Publicysta, na którego biurku lub w bibljotece dotychczas niema książki Hitlera „Mein Kampf" popełnia grzech wobec swojego zawodu i wobec swego narodu".

Teraz już wiemy, co to jest „prawda i jasność rzeczy" wedle rozumienia hitlerowskiego.

W ewangelji hitleryzmu „Mein Kampf" wydanej w 1923 r., wydawanej od tego czasu kilkakrotnie, powtarza się m. in. takie zdanie:

„Nieubłaganym śmiertelnym wrogiem narodu niemieckiego jest i zostaje Francja. Ten naród coraz bardziej zmurzyniony w swem połączeniu z czynnikami żydowskiemi, stanowi nieustające niebezpieczeństwo dla istnienia rasy białej w Europie. Zaraza na brzegach Renu, przez krew murzyńską, odpowiada całkowicie pragnieniu sadystycznej zemsty, które ożywia tego szowinistę, dziedzicznego wroga naszego narodu, jakoteż i zimnej i nieprzepartej dążności Żydów do rozpoczęcia od serca Europy batardyzacji lądu europejskiego i odebrania rasie białej podstaw samodzielnego istnienia przez zarażenie jej niższym gatunkiem człowieczeństwa. To, co Francja, popędzana przez swoje pragnienie zemsty, metodycznie kierowana przez Żydów, czyni dziś w Europie, jest zbrodnią przeciw białej rasie ludzkiej i obudzi przeciw temu narodowi ducha zemsty pokolenia, które w skazie rasy dojrzy znamię grzechu pierworodnego ludzkości..."

Oto przykład prawdy i jasności hitlerowskiej. Te parę zdań nasiąkłych cyniczną nienawiścią, pełnych niezdrowych myśli półinteligentnego manjaka-sadysty — oto ewangelja, od której nie wolno odstąpić publicystyce i dziennikarstwu niemieckiemu.

Ktoś powie na to: ale on ma za sobą tłumy! Albo jeszcze: teraz mówi inaczej, mówi jak mąż stanu; z trybuny Reich-

stagu oświadczył, że chce żyć ze wszystkimi w zgodzie.

Frazesy oratorskie Hitlera już zostały na terenie międzynarodowym ocenione we właściwy sposób. Uczyniła to prasa.

A co mówią fakty? W myśl tej właśnie ewangelji powołuje się w Niemczech do życia osobny urząd do spraw rasowych. Urząd ten przedewszystkiem ma wywieszać na sklepach i sklepikach tabliczki: „To jest Żyd", ma określić rasę każdego handlowca, rasę, nie według wyznania i nie według samookreślenia jednostki. Nie. To będzie czynił pan komisarz „rasowy" prezes centralnego komitetu bojkotowego, poseł Streicher, jakiś psychopata-pornograf, który wydawał tygodnik pornograficzny „Der Stürmer".

Zresztą nie on jeden tę „ewangelję" urzeczywistnia. Panowie posłowie nacjonal-socjalistyczni do sejmu pruskiego ogłosili odezwę do komisarza oświaty w Prusach, w której wzywają go, aby „usunął ze szkół wszystkich nauczycieli Żydów, t. j. pochodzących od Żydów, lub bastardów".

Dziesięć przykazań sztutgarckich, cytaty z „Mein Kampf", urząd rasowy i petycja posłów pruskich — oto kwiatki twórczości nowego reżimu. Pozatem cóż zostaje? Dziesiątki tysięcy uwięzionych, pokazywanych na wyrywki różnym wdzięcznym korespondentom, (wśród nich znalazł się i jeden korespondent polski), setki zamkniętych sklepów, ludzie wyrzuceni na bruk, zamknięte sądy, nieco pomordowanych, trochę zaginionych, świadectwa prawomyślności, zamknięcie granic, no i wyblakłe od deszczów cesarskie sztandary...

Oto twórczość w całej pełni! Cóż pozatem? Nie wiemy: urząd badania konjunktur już nie ogłasza wykazów bezrobocia, Göring, Frick i inni są zajęci Stahlhelmem i Żydami, a reszta stronnictwa rządzącego w Niemczech — naklejaniem tabliczek antysemickich.

Tak wygląda pierwszy miesiąc odrodzenia narodowego na wewnątrz.

A zewnątrz? Jedyny przyjaciel, Mussolini, w delikatny sposób daje do zrozumienia, że do Anschlussu nie dopuści, przyjaźń liberałów angielskich wyczerpała się, Sowiety w notach i w czynach wypierają się sojusznika z Rapallo, światła opinja publiczna na całym świecie, która potrafiła cenić wartości kultury niemieckiej, odwraca się ze wstrętem i oburzeniem od panującego w Niemczech reżimu.

Taki jest bilans miesiąca...

***

Kto wejdzie w cień reżimu hitlerowskiego pośrednio lub bezpośrednio, ściąga na siebie mimowoli ciągnącą się za nim odrazę. Doświadczył tego świeżo premjer angielski p. Ramsay Mac Donald przez swoją kampanję na rzecz paktu 4-ch, wedle recepty p. Mussolini'ego. Doświadczył nie przez miłość Europy dla Polski, czy Małej Entente'y, ale przez to, że plan ten po wyłuskaniu zeń istoty rzeczy stanowi premję dla Niemiec hitlerowskich, a co zatem idzie jest zarzewiem zatargów i wojny.

Gdyby było inaczej, czy mógłby leader prawego skrzydła konserwatystów angielskich p. Winston Churchill tak pastwić się nad premjerem rządu, do którego większości należy jego stronnictwo, jak to odbyło się na jednem z posiedzeń ostatnich Izby Gmin? Pan Mac Donald przedstawił na tem posiedzeniu swój, a raczej Mussolini'ego plan, uczynił to zresztą w sposób dosyć mętny.

A w konkluzji debaty usłyszał wśród ogólnego zadowolenia Izby od p. Churchilla takie pater noster:

— Muszę powiedzieć, że kiedykolwiek pan premjer zajmował się osobiście polityką zagraniczną, kończyło się to niepowodzeniem. Cztery lata jego rządów w polityce zagranicznej uczyniły nas słabszymi, biedniejszymi i gorzej bronionymi. Jesteśmy dziś bliżej wojny, niż kiedykolwiek. Podróż do Rzymu była zapewno bardzo miłą wycieczką i dała wiele satysfakcji p. Mussolini'emu, dała mu przyjemność podobną do tej, którą odczuwał papież, gdy go odwiedził jeden z cesarzów w Kanossie. Izba jest rada, że widzi pana premjera z powrotem u siebie. I Don-Kichota witano z radością, gdy wracał ze swoim Sancho Panszą z trofeami wątpliwej wartości, zebranemi wśród nerwowego śmiechu całej Europy..."

Nie cytujemy mowy p. Churchilla dalej, ale warto nadmienić, że zaraz po nim głos zabrał przedstawiciel Labour-party pułk. Wedgwood i mówił tak:

— Pan premjer i jego minister spraw zagranicznych przez 10 dni nie byli w kraju i widocznie nie czytali gazet. Muszą być zdziwieni, że w czasie ich pobytu w Rzymie i Genewie zaszły pewne wydarzenia. Przed 15 zaledwie dniami część naszych synów oświadczyła, że nie będzie bić się nawet za króla i ojczyznę. Dziś ci sami młodzi ludzie pomrukują i mówią, że „nadludzie" niemieccy poszli nieco za daleko i że trzeba ich powstrzymać. Ta zmiana jest hołdem dla uczuć szlachetnych kraju.

Anglja z germanofilskiej stała się frankofilską.

Pan premjer jeszcze sobie tego nie uświadomił. Gdyby miał czas dać wyraz uczuciom swojego kraju w ciągu tych 10 dni, byłby zrobił choć aluzję szlachetną do biednych przyjaciół, których Niemcy pędzą teraz z jednego więzienia do drugiego. (Głośne oklaski w całej Izbie). Czcigodny dżentelman premjer powinien był dać wyraz opinji prawdziwych dżentelmenów angielskich o tem, co dzieje się obecnie w Niemczech." (Oklaski).

Oto ustęp ze stenogramów Izby Gmin, zupełnie u nas nieznany. A on przecież świadczy najlepiej o zwrocie, który dokonał się w opinji świata, o nowych nastrojach i nowych sytuacjach: po jednej stronie gromadzi się gwałt, przemoc i zniszczenie kultury, po drugiej obrona praw ludzkich i postępu świata.

St. Gr.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Stanisławowi Pawlinie w Hucie-Dąbrowie. Dziękujemy serdecznie.

Panu „Żakowi" we Lwowie. Rzeczy te nie nadują się do „Epoki". Napisane dobrze, ale nie odpowiadają charakterowi naszego pisma.

Pani Małgorzacie W. w Krakowie. Uwierzyła pani w oszczerstwa prasy klerykalnej. Akcja „świadomego macierzyństwa" ma właśnie, między innemi, za zadanie *walkę* z plagą poronień. W poradniach nigdzie nie przerywa się ciąży, o czem już tyle razy pisano. Udziela się jedynie porad, jak ciąży *zapobiec* w warunkach, które uniemożliwiają normalne utrzymanie i wychowanie dziecka. Jeżeli Pani będzie nadal wierzyła świstkom klerykalnym, wszystko, co jest postępem, wyda się Pani potworne i straszne. Prosimy o większą równowagę ducha. W „Sodomę i Gomorę" Polski zamienić nie pragniemy.

Panu Zdzisławowi L. w Łodzi. Słusznie. Będziemy o tem pisali.

Panu St. J. K. Znajdzie Pan w najbliższym n-rze „Epoki".

KSIĄŻKI NADESŁANE

Dr. Gerhard Dobbert: Czerwona gospodarka. Fakty i zagadnienia życia gospodarczego w Rosji sowieckiej. Przełożył dr. Z. Szymanowski. Tow. Wydawn. „Rój". Warszawa 1933.

Dr. Aleksander Szczepański: Drapacze i śmietniki. Wrażenia amerykańskie. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa 1933.

Marja Dąbrowska: Noce i dnie. Tom 3-ci: Miłość. Wydawnictwo Jakóba Mortkowicza. Warszawa 1933.

Marja Kuncewiczowa: Dwa księżyce. Tow. Wydawn. „Rój". Warszawa 1933.

Réné Guzman: Zazdrość. Przekład Barbary Sieroszewskiej. Tow. Wydawn. „Rój". Warszawa 1933.

Ferdynand Goetel: Podróż do Indyj. Z 57 ilustracjami. Gebethner i Wolff. Warszawa 1933.

Ilja Erenburg: Fabryka snów. Przełożył Aleksander Wat. Tow. Wydawn. „Rój". Warszawa 1933.

Leopold Wellisz: Les amis romantiques. Ary Scheffer et ses amis polonais, Edition du Trianon. Paris 1933.

TREŚĆ NUMERU:

Przypominamy Sz. Czytelnikom, że czas odnowić prenumeratę na 2-gi kwartał 1933 r. Czytelnicy, którzy nadeślą przedpłatę, unikną przerwy w otrzymywaniu pisma. Prenumerata kwartalna—6 zł. (Konto P.K.O. Nr. 26.630.)

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.-242 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.